



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



B. Dyakowski.

Wężę.

1. Wężę w podaniach u różnych ludów.

Wężę należą do stworzeń powszechnie nielubianych. Składa się na to wiele przyczyn: ich postać długa i cienka; skóra zimna w dotknięciu; nieprzyjemny wzrok; ruchy, czołgające się

i prześlizgujące; trudność ujęcia i utrzymania tych stworzeń w ręku — wszystko to wzbudza nieufność i odrazę do węży. Niechęć do nich zwiększa się jeszcze przez to, że znaczna ich ilość należy do zwierząt jadowitych, których ukąszenie bywa częstokroć śmiertelne. Własność tę z niektórych węży przenosi się na wszystkie, bo wszystkie mają zachowanie się i postać jednakową, tak dalece, że nawet uczeni, zajmujący się badaniem tych stworzeń, nie zawsze mogą od razu przewidzieć, czy mają do czynienia z gatunkiem jadowitym, czy też z nieszkodliwym.

I oto dzięki temu wąż stał się uosobieniem stworzenia złośliwego i podstępного, które skrada się do ofiary

zwinnymi, a płaszczącymi się „wężowymi” ruchami lub magnetyzuje ją zimnym, szklistym i nieruchomym „wężowym” wzrokiem, aby następnie pozbawić życia jadowitem ukąszeniem. Płaszczenie się i fałszywość, chytrych i przebiegłość w połączeniu z nieczułością i okrucieństwem złożyły się na ten obraz wzbudzający odrazę i pogardę dla węży. Stały się one powszechnie przedstawicielami różnych wad; ogłoszono je za stworzenia zimne i nieczułe, pozbawione najzupełniej uczucia wdzięczności i przywiązania, odpłacające stale złem za dobre.

Któż nie zna bajki o chłopie, który, znalazłszy w zimie na pół zmarzłego węża, zlitował się nad nim i ogrzał go w zanadrzu; wąż, zaś obudzony przezeń do życia, ukąsił go i zabił swoim jadem.

Opowieść ta sięga jeszcze czasów greckich i rzymskich; powtarza się jednak u wszystkich prawie ludów Europy. I u nas znalazła wyraz w przysłowiu „nie trzeba węża w zanadrzu chować.”

Wskazuje to wyraźnie, jak oddawna i jak złą opinię mają ludzie o węzach, tem bardziej, że taki sam pogląd znajdujemy i w wielu innych podaniach, dotyczących się tych zwierząt. Zwłaszcza czarno je przedstawiają różne ludy strefy zwrotnikowej, obfitującej w węże jadowite, które porządnie dają się we znaki tamtejszym mieszkańcom.

Wężę takie nie tylko budzą wstręt i odrazę, lecz się ją jednocześnie obawę i przestach. Z tego powodu u wielu ludów stały się one przedmiotem grozy, uosobieniem złych a potężnych i niebezpiecznych sił, których łaskę należy sobie zaskarbić, jeżeli chcemy, żeby nam one nie szkodziły. W niektórych miejscowościach Afryki i Azji zabicie węża uważa się za rzecz nadzwyczaj niebezpieczną, mogącą ściągnąć nieszczęścia na tego, który odważy się na tak zuchwale postępek. Indusi mniemają, że zamordowanie węża jadowitego, który kogoś ukąsił, pociąga za sobą niechybnie śmierć ukąszonego.

Bujna wyobraźnia, podniecona obawą, przypisała węzom moc czarodziejską, a postać ich zmieniła do niepoznania. W baśniach i podaniach pilnują one często skarbów, ale w niczem nie są podobne do prawdziwych węzów: głowę ich zdobi złota korona; z grzbietu wyrastają potężne skrzydła; mają one nogi, a częstokroć i ręce, w których dzierżą oręż dla ukarania śmiałków, zbliżających się do zaklętych skarbów... Słowem niczem nie przypominają rzeczywistych węzów, chyba jedynie grozą,

W obawie, wzbudzonej przez węże, ma źródło cześć religijna, które one odbierają u wielu ludów pogańskich, zwłaszcza między zwrotnikami. Azja mianowicie jest kolebką kultu węzów, który tam był rozpowszechniony już w odległej starożytności; a i dziś jeszcze można go widzieć w niektórych krajach. Ale i poza obrębem Azji nie jest on zjawiskiem rzadkiem. Cześć węzom oddają liczne ludy z pośród Murzynów afrykańskich; u mieszkańców Melanezyi cieszą się one większym szacunkiem, niż jakiegokolwiek inne zwierzęta.

Łatwo pojąć, że w takich krajach nikt nie ośmieli się myśleć o zabijaniu węzów, nawet pomimo szkód, przez nie zrządzanych. Jadowitość tych stworzeń, niebezpieczeństwo, któremu grożą — stają się dla nich środkiem obrony, zabezpieczającym je od wszelkich prześladowań ze strony ludzi. Opinia złych i przewrotnych stworzeń wychodzi im w tym razie na dobre.

Trzeba jednak przyznać, że nie u wszystkich ludów zyskały one tak złą opinię, nie wszędzie stały się uosobieniem najgorszych pierwiastków i wad. Zwłaszcza w krajach umiarkowanych, gdzie węzów jadowitych znajduje się niewiele, ludzie zwrócili uwagę i na dobre strony tych stworzeń, a w wielu miejscach nawiązali nawet z nimi przyjazne stosunki.

Spokojne i oziębiające zachowanie się większości węzów, któremu zawdzięczają opinię zimnych i nieczułych stworzeń, znalazły uznanie u niektórych ludów. Etruskowie (lud w starożytnych Włoszech) uważali je za godło spokojnego i przyjacielskiego pierwiastku, oraz łagodności. W innych krajach z tego samego powodu stały się symbolem mądrości i roztropności.

Taką samą dobrą opinią cieszyły się węże na Litwie pogańskiej. Były tam one poświęcone bożkowi Atrympos czyli Potrymbos, którego znamię było naczynie napełnione wodą i nakryte snopem zboża, a służące za mieszkanie dla węża wodnego. Oprócz tego węże zamieszkiwały dziury u podnóża dębów w gajach świętych i wogóle były mile widziane przez każdego Litwina, koło którego domu obierały sobie siedlisko. Karmiono je i pojono jak domowe zwierzęta, obchodzono się z nimi przyjacielsko, a zabicie węża uważano za grzech.

Żeby dać pojęcie o poufałym stosunku, jaki istniał tam między węzami i ludźmi, podajemy następujący wyjątek z powieści jednego z naszych pisarzy historycznych (Bernartowicz), opowiadającego o przyjęciu podróżnych w chacie Litwina z czasów pogańskich:

„Gospodyni domu zajęła się przygotowaniem śniadania. Zastawiono stół lipowy ciepłym mlekiem, masłem, jajami i prażonym grochem. Zaledwie podróżni do posilania się wzięli, gdy na dźwięk statków i naczyń stołowych, wyłazić zaczęły z nor swoich karmione węże i czołgając się poważnie, gromadziły się około stołu.

Byłaby to osobliwość niebardzo przyjemna dla cudzoziemca, nieobeznanego z narodowymi zwyczajami, ale nasi podróżni, wiedzieli dobrze z nauki wiary, że węże, Giwajtos zwane, w każdym domu pobożnym starannie są pielęgnowane, i że ich liczba i dobry byt jest miarą bogobojności gospodarza; nie okazali więc ani podziwienia, ani odrazy.

Oswojone węże, hurmem wczółgawszy się na stół, zazierając do mis i czarek, chwyciły bezkarnie przed gośćmi posiłek. Widok ten, jakkolwiek dziwny, nie był zupełnie odrażający. Srebrno nakrapiany wąż, zgrabnie tocąc swoje pierścienie, poufały a nie złośliwy, czemużby miał być nienawidzony? Gospodarz, patrząc z upodobaniem na czołgający się swój dobytek, opowiadał historię każdego węża, tłumaczył związki pokrewne, okazywał, który jest rocznikiem, dwurocznikiem i tak dalej.

„Dziwiła Trojdana *) śmiałość Pojaty, która z niemi pieszcząc się pobożnie, ręką je własną karmiła i pochwałała gospodyni staranność, że je w tak dobrym utrzymuje stanie. Musiał i Trojdan, naśladować innych, zadać się z gadem cokolwiek. Szczęściem dla niego, że Giwajty, wkrótce się najadłszy, popełżyły do swych legowisk pod piec, ławy i kąty.”

Po zaprowadzeniu wiary chrześcijańskiej, węże przestały odbierać cześć boską na Litwie; tem niemniej jednak przyjazne uczucie dla tych stworzeń i przyjacielski stosunek z nimi zachował się jeszcze i dzisiaj, jak o tem mówi Wincenty Pol:

Przy łuczywie u komina
Przedzie miękki len družyna;
A w pobliżu działwy zdrowej
Toczy kołem wąż domowy.

Istotnie, w bardzo wielu miejscach u nas lud karmi węże i dzisiaj. Pełzają one bez przeszkód po izbie i zagłądają do misek, z których jedzą dzieci, siedząc na ziemi. Co prawda, są to wszystko zupełnie nieszkodliwe i niejadowite węże wodne, łagodne z natury i nie grożące najmniejszym niebezpieczeństwem.

Przyjazny stosunek z węzami istnieje także w niektórych innych krajach Europy. W Sardynii wąż jest zwiastunem szczęścia i ukazanie się jego w chacie wieśniaka lub szafasie pasterza, uważane bywa za zapowiedź pomyślności. Nikt by się tam nie ośmielił witać wrogo takiego gościa! Co więcej, w niektórych miejscowościach kobiety wiejskie mają zwyczaj karmić węzów, zanosząc im codziennie żywność i umieszczając takową u wejścia do dziur i jaskiń, zamieszkałych przez te zwierzęta.

Postać węża, budząca w ogóle wstręt i odrazę dla tych stworzeń, znalazła jednak także uznanie u niektórych ludów. Wąż umie zwinąć się w kłębek w taki sposób, że ogon i głowa znikają zupełnie wśród licznych skrętów ciała i zwierzę zdaje się nie mieć początku ani końca. U Indusów i Egipcyan stał się on wskutek tego godłem nieśkończoności i czasu.

(d. c. n.)



*) Trojdan i Pojata — imiona podróżnych. Pojata była Litwiną, Trojdan — Polakiem i dla tego nie oswojonym z węzami.

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE Z KOWALSKICH DRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg).

— Kto wie — odrzekła — sroczka skrzeczy na płocie, może Marcinek zawita dziś do domu. Toż widziałam go we śnie.

— Dałby to Bóg — odparł ojciec — wszystko w mocy Bożej i z uśmiechem pogłaskał ją po głowie.

Słońce poczęło chylić się do zachodu, zasiedliśny jak zwykle pod lipą. Młodsze dziewczynki przyniosły wielką misę zsiadłego mleka na podwieczorek; przyszła i chorążyna.

Elżunię coraz większy ogarniał niepokój, raz po raz wybiegała za wrota. Ilekroć pies zaszczekał lub wiatr poruszył liśćmi, rumieniec występował na jej licu.

Zegar wykukał szóstą, kiedy zdaleka zaturkotało coś na drodze; słuchamy pilnie; turkot coraz to bliższy. Wreszcie ukazuje się wózek, zaprzężony w parę koni, skręca w podwórko. Na wózku pokrytym kobiercem siedzą dwaj towarzysze w wojskowych mundurach, szabla błyszczy na słońcu.

— Marcinek! Marcinek! — woła Elżunia, wszyscy zrywają się z miejsca, wybiegają ku wrotom, gdzie wózek się zatrzymał.

Był to w rzeczy samej Marcin, blady, dziwnie zmieniony. Towarzysz wyskoczył pierwszy i ostrożnie podaje mu ramię.

Drżący Marcin, obejmuje nogi rodzicielskie.

— Dzięki Bogu, jam żywy! — rzecze — ale źle było ze mną. Oto pocziwy mój towarzysz, Kazimierz Drużbacki, on mnie pielęgnował jak brata i dowiózł szczęśliwie do domu.

Radosne było powitanie. Rodzice uścisnęli pana Kazimierza, jak rodzzonego syna. Zasiedliśny wszyscy pod lipą. Tu dopiero wyjawili się długie milczenie Marcina. Kula samopalała przetrzebiła mu ramię, naruszyła cokolwiek płuca. Stąd wywiązała się niebezpieczna choroba; lekarz regimentowy powątpiewał nawet o życiu. Trzy miesiące biedny Marcin przeleżał w lazarecie. Kazimierz nie opuszczał go na chwilę; uwolnił się nawet od służby, aby pielęgnować przyjaciela. Nastąpiło wreszcie przesilenie, choroba ustępowała z wolna, Marcin jednak nie pisał do rodziców, by nie nabawić ich próżnej trwogi, obiecując sobie, jak mu siły wrócą, pośpieszyć do nich na wypoczynek. Kazimierz przyrzekł mu towarzyszyć.

Długo trwały pytania i odpowiedzi; słońce tymczasem zaszło, podano wieczerzę. Uważałam, że pan Kazimierz spogląda raz po raz na Elżunię, kiedy przypadkiem spotkały się ich oczy, ona płonęła jak różyczka; udawałam, że tego nie widzę.

Wesoło było w Kowalewie. Marcin wkrótce odzyskał krzepkie zdrowie, nie chciał jednak słyszeć o wyjeździe Kazimierza, z czem się i ten nie bardzo kwapił. Dobrze mu było w gościnnym domu chorążostwa, serce jego widocznie lgnęło do Elżuni, a i ona poglądała nań chętnem okiem. Dowiedziałam się później, że pan Marcin jakkolwiek miał dosyć siły, by samemu puścić się w drogę, rad był serdecznie, że pan Kazimierz postanowił mu towarzyszyć. Kochał on szczerze przyjaciela; pragnął zbliżyć go do Elżuni; przecucie mówiło mu, iż spotkanie to wpłynie na dalszy bieg ich życia. Jakoż wcale się nie omylił. Pan Kazimierz pozostał kilka tygodni w domu chorążostwa. Dorodny to

był młodzian, z włosiem czarnym jak krucze pióro, z cerą smagłą i pełnym zapału okiem. Matkę utracił wcześniej, miał lat szesnaście gdy umarła; pamięć jej zachował głęboko w sercu, a dobry ojciec wychowywał go z macierzyńską troskliwością. Miły w obejściu, wszystkich sobie zniewolił w Kowalewie. Przed odjazdem wyznał chęci swoje Marciniowi, prosił go, by zbadał rodziców, czy pozwolą mu, przybyć po żniwach z ojcem i poprosić o rękę siostry. Chorążostwo przystało najchętniej; Elżunia nie wiedziała o tych układach, ale skłonność jej nie była tajemnicą dla serca dobrej matki.

Minęły żniwa. W ostatnich dniach września przybyli z Halicza mili goście. Skarbnik Drużbacki z rumianą cerą, włosiem szpakowatym do góry podniesionym, żarliwy zwolennik króla Stanisława, przypadł do serca chorążemu. Zaledwie upłynął tydzień, oświadczył syna o rękę Elżuni. Przyzwana do rodziców, chętnie zgodziła się z ich wolą — niezwłocznie nastąpiły zaręczyny.

Z powodu wielkiej odległości, stanęło na tem, że skarbnik pozostanie kilka tygodni w Kowalewie, gdzie ślub młodej pary odbędzie się przed adwentem. I tak się też stało. Z wyprawą Elżuni niewiele było korowodu. Przeznaczone matką wszystko pomału przysposobiła. Nim Elżunia wróciła z dworu wojewodziny, już stopy bielizny leżały na półkach w wielkiej szafie. Po jubki i kożuchy chorążyna wyjechała z córką do Poznania — zabawiła tam ledwie dni kilka.

Wnet przyszedł dzień zaślubin. Słonko listopadowe jasno wybiegło z poza chmury, przyświecało jakby na wiosnę; wszyscy wróżyli szczęście nowożeńcom. Sliczna była moja Elżunia, w białej, drojetowej sukience, w wiązku rozmarynowym, który jako druchna przypięłam jej nad czołem. Radość odbijała na jej licu, nie obyło się jednak bez łez, kiedy oboje z narzeczonym upadli do nóg rodzicielskich, a oni nakreślili krzyżyk nad pochylonemi ich głowami i wyrzekli słowa błogosławieństwa. Zapłakała również Elżunia przed ołtarzem, gdy pleban związał stułą jej rękę z ręką oblubieńca. Łzy te oschły niebawem; zaczęli zjechać się sąsiedzi z bliższej i dalszej okolicy. Prawdziweż to było wesele. Zwieziono z Poznania skrzypka i basetlistę; tańce przeciągnęły się do rana.

W tydzień potem, państwo młodzi wyruszyli ze skarbnikiem do ziemi przemyskiej. Dobry ojciec przed wyjazdem odnowił stary dwór we wsi Krzemieniu nad Wisłoką, gdzie miał razem z nimi zamieszkać. Elżunia całem sercem kochała męża, jednak żal jej było opuszczać rodzinne swe gniazdo, obeszła wszystkie kąty, podwórko i ogródek. Czeladka uściskała jej nogi; niewiasty zbiegły się z całej wioski, żegnały ją, powtarzały *szczęść Boże!*

Byłam z rodzicami obecną przy tem pożegnaniu, nigdy go nie zapomnę. Po błogosławieństwie rodzicielskiem, Elżunia zapłakana wbiegła co żywo do krytej kolasy; ojciec i mąż zasiedli przy niej, koła zaturkotały. Dom w Kowalewie dziwnie nam opustoszał.

* * *

Owóz i po weselu. Te gody złotemi literami zapisały się w życiu mojem. Opuszczę na chwilę Elżunię, a opowiem też słowko o sobie. W sąsiedztwie naszym mieszkala stolnikowa Koziobrodzka, zacna i poważna matrona. Miała ona młodszego brata, osiadłego w ziemi kaliskiej. Był to wdowiec bezdzietny, miał lat czterdzieści z górą, nosił tytuł łowczego. Zdarzyło się, że na kilka dni przed weselem Elżuni przybył w odwiedziny do siostry. Chorąży spotykał go niekiedy na sejmikach i zjazdach, zaprosił go tu na gody ze stolnikostwem. Sama już nie wiem jak to się stało, dość, że wpadłam w oczy łowczemu. Stolnikowa dalejże w namowy i swaty. Skończyło się na tem, że po Nowym Roku, oświadczyła chęć brata rodzicom moim, a w sobotę zapustną stanęliśmy oboje przed ołtarzem.

Mąż mój po ukończeniu nauk, spędził lat kilka na dworze króla Jana, niemałej tam nabył ogłady. Potem

osiadł w dziedzicznej wiosce nad Prosną. Pojął za żonę młodszą panienkę, ale przeżył z nią tylko rok jeden. Szczerzy Wielkopolanin nie rad był z tyłu Augusta, a kiedy się w kraju zawichrzyło, stanął po stronie Leszczyńskiego, zaciągnął się pod chorągiew i nie opuścił służby, póki nie obrano królem naszego Piasta.

Mogłam pochłubić się mężem moim: człowiek to był światły i uczony, kto go poznał musiał go ukochać. Unikał hucznych zabaw, zajmował się skrzętnie gospodarstwem, jedną miał tylko wadę, jeśli to wadą nazwać można, lubił zapamiętałe łowy. Żadna obława na dziki czy niedźwiedzie, nie obyla się bez jego udziału. Godnie też, jak mówili sąsiedzi, nosił tytuł łowczego. Mnie upodobanie to nie bardzo przypadło do smaku, drżałam nieraz kiedy się puszczał w gęste bory Mazowsza.

— Oj te łowy — mawiałam przy pożegnaniu. — Jęgoomość doczeka się biedy.

— Nie trwóż się, moja panno — odpowiadał na to — jam przecie nie dzieciak, z niejednym niedźwiedziem brałem się za bary, a żaden nie dotknął skóry mojej.

Gdyby nie obawa o męża, nicby mi do szczęścia domowego nie brakło, ale nie szukam na świecie zupełnej pomyślności. Ubiegło lat parę, aż oto nadbiega wieść, że król szwedzki pokonany pod Połtawą, ledwie że ubiegł z życiem; król Stanisław musiał ustąpić z tronu, miejsce jego zajął August II-gi. Chorąży przepłacił to ciężką chorobą, nie mało też przeboleł mój ojciec.

Pocciwy pan Kazimierz, wówczas już mianowany skarbnikiem żydaczewskim, aby złagodzić troski chorążego, przywiózł do Kowalewa Elżunię i dwuletnią córeczkę. Małeńka Urszulka, śliczna, istny aniołek, ożywiła nieraz smutne progi chorążostwa. Nie było jednak dawnego życia w tym domu, wszyscy jakoś dziwnie osowieli, chorążemu przybyło jakie lat dziesiętek: lica mu pożółkły, włosy przypruszyła siwizna.

I my z mężem przybyliśmy do Zabrzezia. Codzień widywałam moją Elżunię. Na widok Urszulki serce mi pękało na myśl, że Bóg odmówił mi takiej radości, ale trzeba było zgodzić się z Jego wolą i szukać pociechy w szczęściu drogiej towarzyski lat młodych.

Spędziliśmy wtedy z sobą niejedną słodką chwilę; razem chodziliśmy do brzoźowego lasku; Elżunia czytywała mi swoje piosenki, wyśpiewane ponad Wisłoką; zachwycałam się niemi. Nieraz i chorąży słuchał jej z upodobaniem, a czoło jego rozjaśniało się na chwilę i cera nabywała krasę. Tak zbiegło kilka tygodni wiosennych; czas mi było wracać do domu, dokąd mnie mąż wyprzedził. Skarbnikowie pośpieszyli też na Halicz, nieco uspokojeni o rodziców.

Przeszło lat parę w ciszy i pomyślności; aż oto Bóg spuścił twardy krzyż na barki moje. Spełniły się przeczuć, jakie mnie oddawna dręczyły. Zapowiedziano wielką obławę w ziemi sieradzkiej. Było to w styczniu, rzeki pozamarzały, śnieg zasał ziemię na sążeń. Mąż puścił się w drogę, zabrał dwóch strzelców z sobą. Sen odbiegł z powiek moich. Kilka nocy nie znużyłam oka.

Pomnę, było to wieczorem, sanki zadzwoniły w dziedzińcu. Wybiegam niespokojna: i cóż widzę! oto strzelcy podejmują z sani, na pół bezwładnego męża, ledwie że bienny stopy wlecze. Na wskroś przejęty mrozem, czuł się już słaby podczas łowów, ale krył się z tem w obawie, aby go gwałtem nie zatrzymano; chciał koniecznie wrócić do domu.

(d. c. n.)

Jan Tadeusz ks. Lubomirski.



o nielicznego grona osób, którzy pracę swą w ciągu życia całego, poświęcili dla dobra i pożytku kraju, należy niewątpliwie J. T. ks. Lubomirski.

Urodzony w październiku 1826 r. w Stanisławowie Mohylowskim z ojca ks. Eugeniusza, i matki Maryi, z hr. Czackich, córki słynnego w naszych dziejach Tadeusza Czackiego, — nauki ukończył w Petersburgu 1846. Następny rok podróżował, mianowicie po Syberyi, poczem zamieszkał w Warszawie, śledząc baczenie i rozumnie potrzeby społeczeństwa, którego był członkiem i współobywatel.

Widzimy go też stale zajętego dobrem maluczkich, najpierw jako kierownika ochron przy T. Dobroczynności, starającego się przytem oświecić starszych umysły, zakładając czytelnie bezpłatne.

Następnie zostaje członkiem rady wychowania publicznego w Królestwie Polskiem.

Wrażliwość jego na niedolę ludzką widzimy w założeniu Instytutu Oftalmicznego.

Uznaje także potrzebę podniesienia dobrobytu rzemieślników, i tworzy w tym celu spółkę zjednoczonych stolarzy, opartą na wspólnej pracy.

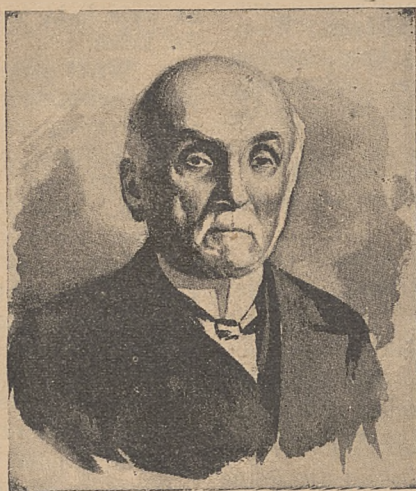
Zachęcona dobrym przykładem, powstaje spółka zjednoczonych krawców, zjednoczonych szewców, i wiele innych, a wszystkim przewodniczy nieustrudzony ks. Tadeusz Lubomirski.

W roku 1870, jest jednym z pierwszych uczestników Tow. Kred. miasta Warszawy, i zostaje wybranym na prezesa tegoż Towarzystwa, piastując ten urząd do dnia dzisiejszego. — Niezależnie od tego przyczynia się do rozwinięcia licznego szeregu związków, przeznaczonych do polepszenia bytu drobnego przemysłu.

Wszystko to, cośmy dotąd wymienili, nieprzeszkadza szanownemu filantropowi w badaniach naukowych, których owocem są książki: „Jurydykcyja patrymonialna w Polsce” (1862) „Ludność rolnicza w Polsce od XV—XVI wieku.” Kodeks dyplomatyczny Księstwa Mazowieckiego (1863) „Opowiadanie dla dzieci”; nadto był redaktorem i wydawcą pierwszej „Encyklopedyi Rolniczej,” oraz inicjatorem wydawnictwa „Encyklopedyi Wychowawczej.

Za tyle miłości i pracy ogół naszego społeczeństwa pragnął okazać mu wdzięczność w 50 letnią rocznicę jego działalności publicznej, lecz ks. Tadeusz wymówił się od przyjęcia obchodu głośnego. — Musiano zatem poprzestać na złożeniu mu adresu podpisanego przez kilkuset obywateli i wybiciu złotego medalu, na którym wybito z jednej strony: podobiznę księcia, z napisem w koło „Jan Tadeusz ks. Lubomirski; 1851 — 1901.” a z drugiej: na tle symbolicznem z literą L (t. j. rzymskie 50) napis dokoła „W uznaniu półwiekowej pracy społecznej spółobywatela.”

Pamiętki te wręczono Jubilatowi. d. 25 Grudnia 1901. Wszechnica Jagiellońska jeszcze w 1900 r. przyznała mu dyplom dr. filozofii *honoris causa*.



Tadeusz ks. Lubomirski.

Papież Aleksander III i Fryderyk Barbarossa.

Cesarz niemiecki Fryderyk I, zwany Barbarossa, — o znaczy rudobrody — panował od 1152 — 1190.

Robił kilkakrotnie wyprawy wojenne do północnych Włoch, celem zagarnięcia pod swoje panowanie zubożone handlem miasta lombardzkie. Z początku zwyciężał, raz nawet zmusił głodem Medyolańczyków do poddania się, w dodatku mieszkańców surowo ukarał, a miasto zburzył.

Postępek ten rozjątrzył bardzo Włochów, przeciwko cesarzowi; Medyolan prędko powstał z gruzów, i znowu stanął na czele związku miast lombardzkich Werony, Padwy, Cremony i Modeny. Papież Aleksander III połączył się z temi miastami, i rzucił na Fryderyka klątwę za gwałty i rabunki, jakich się we Włoszech dopuszczał.

Fryderyk nieustraszony, powtórnie wyruszył do Włoch, lecz tym razem szczęście go opuściło. — W bitwie pod m. Legnano poniósł straszną klęskę ukorzył się i prosił o pokój. Na naszej rycinie widzimy spotkanie cesarza z papieżem w Wenecyi. Barbarossa z orszakiem swym oddaje hołd Aleksandrowi III, całując go w rękę, ten zaś udziela mu przebaczenia i błogosławieństwa Aleksander III należy do najznakomitszych głów kościoła i patryotów włoskich; wielkich zdolności, i energii; upokorzył dumnego cesarza, który w pochodzie zwyciężkim, zamierzył podbić

Włochy. Ślady działalności papieża Aleksandra III znajdujemy i w naszej historii, — między innymi potwierdził ustawę zjazdu Łęczyckiego.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

A Marysia? Tej mu żal. Wypiastował ją na rękach i tyle razy bronił od prześladowania *tamtych*. Tamci! gdzie oni są dziś? Grzesia wziął dziadek na stajennego, dziewczyny poszły do służby, ale inni, Leon na przykład? Przepadł jak kamień w wodę, o jego wujaszku mówiono, że uciekł z Rogoźna, Uciekł posądzony o kradzież, posądzeni uciekają zwykle przed karą. Ale on, Stefan Luty, ucieka chociaż nie przywłaszczył sobie nigdy cudzego dobra. Mógł śmiało spojrzeć ludziom w oczy, a jeśli gardzili nim to on temu nie winien. Bóg, który czyta w sercach ludzkich, widzi, że chce pracować na dobre imię on — bezimienny, że



Fryderyk I Barbarossa składa hołd papieżowi Aleksandrowi III w Wenecyi w r. 1157.

chce kochać ludzi jak braci. Byle mu nie wyrzucali pochodzenia.

Zaszedł nad jezioro, obejrzał się, nikt go nie gonił, bo też nikogo nie zostawiał za sobą. Spojrzał ostatni raz na Wągrowiec. Miasto oświecone promieniami zachodzącego słońca wydało mu się bardzo piękne. Złociły się na tle ogrodów mury dwóch kościołów, złociła wstęga rzeki, szumiały drzewa rosnące nad szosą. Szosą pójdzie prosto przed siebie do Poznania, nie zbłądzi.

— Pójdę, co mi tam! — powtarzał raz po raz, a nie pilno było mu odchodzić.

Dusza chłopca przyrosła do okolic, które żegnał może na zawsze. Z miejsca gdzie stał obejmował wzrokiem cały Wągrowiec i wijące się wśród łąk nurty Welny. Tędy przez kładkę biegał z organistówki nad jezioro po lilie wodne. Werębkowa biła, bo chłopak mógł się utopić, on nie zważał na bicie i rwał kwiaty, które pływają po fali jak gwiazdy spadłe z niebieskich stropów. Rwał dla proboszcza i dla Marysi.

— Mój Boże, jak tu ślicznie, — dlaczego złość ludzka wypędza mnie z Wągrowca — myślał Stefek i nasłuchiwał, bo zdawało mu się, że zawoła ktoś za nim — wróć? Ale nie zawołał nikt na sierotę. Tylko nagle zakłósało się powietrze echem wieczornej modlitwy.

— To Betkowski dzwoni na Anioł Pański! — zawołał Stefek i zasłonił twarz rękami.

Prawdę mówił proboszcz. Z tej ziemi, z ziemi jego rodzinnej szła mu do serca słodycz i siła. Niósł ją dźwięk dzwonów, szum fali jeziora, szelest wiatru w gałęziach drzew, niosło powietrze, którem oddychał od dzieciństwa.

— Ziemia karmicielka, matka! myślał Stefek, a w tem zamigotało coś na kładce. Poznał Marysię po czerwonej chuście, którą okryła główkę. Pobiegł, porwał na ręce, uścił.

— Bądź zdrowa! wróć po ciebie — zawołał i, nie zważając na zdziwienie dziecka, szedł prosto szosą... w świat.

Rozdział IV.

Rogoźno. — Pan Burmistrz. — Popas w Murowanej Goślinie. — Marya Leszczyńska. — Mówca w kapocie. — Do Ameryki. — Wojciech Skiba — Jedzie.

Podróżny, jadący koleją żelazną, traci wiele dodatkowych wrażeń, gdyż mija niepostrzeżenie miejscowości o mało sławnym położeniu, lub co ważniejsza, ciekawe historycznymi wspomnieniami.

— *Rogazen, drei minuten!* krzyczy konduktor, prowadzący pociąg z Wągrowca do Poznania, a w wagonie nie każdy domyśla się zapewne, że jedzie obok miasta Rogoźna sławnego śmiercią Przemysława króla Wielkopolskiego.

Może tu, może w szuwarach opasujące jezioro, zawlekli zdradzieccy Brandeburczycy skrwawione ciało bohatera-księcia. Któż ma czas pomyśleć o przeszłości, kiedy lokomotywa pędzi, parskając i plując białą śliną pary.

Leci więc pociąg w dal i tylko trzciny jeziora szumią pieśnią o królu rycerzu, o smutnej królowej Ludgardzie.

Nie tak jednak bywało dawniej. Dawniej podróżny zatrzymywać musiał konie dla odpoczynku na popasach, miał więc czas zwiedzić miejsca pamiętne historycznymi wydarzeniami. Tem bardziej, kto jak Stefan Luty szedł pieszo.

Stefan spędził noc w chacie wieśniaka. Stary to obyczaj Piastowski — wędrowcowi dom i serce otwierać. Nie darmo król kołodziej z Wielkopolski pochodził, ludzie tam i dziś gościnni, jak nigdzie chyba na świecie. Kto raz łamał chleb na poznańskich równinach wyrosły, ten do śmierci pamiętać będzie jak chętnem sercem podawali mu go bracia z nad Warty.

Słońce wstało pogodne, dzień zapowiadał się piękny. Stefan szedł rażno i nie było mu wcale smutno. Zmienił już wprawdzie jednego talara, ale ten na długo wystarczy.

Chleb czarny nie kosztuje drogo, a Bóg nalał źródła świeżą i czystą wodą, człowiek zarówno jak zwierzę czerpać z nich może do woli. O tem co będzie jutro, co będzie zwłaszcza, gdy dojdzie do Poznania, nie myślał Luty wcale. Cieszyło go, że jest wolny jak ptak, więcej jeszcze to, że czuł się równy ludziom spotykanym po drodze. Nie wiedział, kto byli, jak oni nie wiedzieli o nim nic wcale.

Czasem oglądał się w stronę Wągrowca i myślał, że kiedyś jednak wrócić tam musi. Z czem wróci? Nie wiedział, ale był pełen odwagi i dobrych chęci.

— Jest zdrow, silny, gotów podjąć się każdej pracy, czegoż trzeba więcej młodemu? Zwłaszcza gdy słońce świeci pogodnie a łany zbóż kłaniają się przechodniom kłosa-
mi, w których niedługo Bóg zarodzi ziarno. W Poznaniu nie znał nikogo, to jednak nie kłopotowało wcale Stefana. Robota znajdzie się zawsze, z głodu przecież nie umrze. Ślusarzy potrzebują wszędzie — pocieszał się Luty. Uważał rzemiosło za jedyną dla siebie drogę, chciał więc wrócić do warsztatu. Dawniej marzył o pracy biurowej w magistracie, jak pracował Karol siostrzeniec kościelny. Betkowski mówił z dumą, że jego krewny zostanie kiedyś burmistrzem.

— Zostać burmistrzem! Tak, to byłoby pięknie — myślał przed rokiem Stefan i zazdrościł prawie Karolowi. Nęciło go to zwłaszcza, że słuchać by go musiały przekupki Wągrowieckie, te same, które tyle razy dokuczały mu w dzieciństwie. Przekupki drżą przed głową miasta. Niech tylko ujrzą na rynku nos pana burmistrza, nos co prawda potężny i opatrzony w cztery narożce, jakby cztery małe noski, niech ujrzą, a znikną natychmiast jak trusiatka i czekają w pokorze skinienia wszech potężnego władcy.

Od roku przestał jednak Stefek marzyć o zaszczytnem stanowisku naczelnika miasta. Rok właśnie upływał jak po Wągrowcu gruchnęła wieść o przyjeździe naczelnego prezesa z Poznania. Prusacy przestrzegają zawsze porządku, teraz jednak stróżami zamykali jeszcze staranniej ulice i place, a chłopcy po skończonej nauce wybiegali ze szkółki na szosę czy nie jedzie wielki dygnitarz. Czekano na próżno dwa dni, trzeciego padał od rana ulewny deszcz, Stefek musiał wyjść z warsztatu, bo majster posłał go na przedmieście z robotą. Biegł co sił podniósłszy kołnierz kurtki i biegnąc spotkał na szosie burmistrza, oczekującego zwierzchnika, którego przyjazd oznajmiono już z Rogoźna. Pan burmistrz wystrojony galowo, stał pod parasolem, ale tak zziębły i zmoknięty, że chłopcu żal się zrobiło starego człowieka.

— Psia służba! mruknął — i pobiegł dalej. To co widział dało mu wiele do myślenia.

— Majster — pan w warsztacie, a ten przed którym drzały przekupki musi stać na ulewie. Oburzenie i zadziwienie Stefana wzrosło jeszcze, kiedy zobaczył prezesa, który był młody, nie wyglądał wcale na dygnitarza i nie zaprosił burmistrza do powozu.

Odtąd bohater nasz zaczął pojmować, że niezależność jest pięknym przywilejem człowieka. Nie wiedział jak ją zdobędzie w Poznaniu, zdobyć jednak pragnął gorąco.

Gorący był to dzień, w którym sierota wybrał się w świat. Słońce dobiegło już połowy swej drogi, ludzie odpoczywali po skwarnej poranku. Luty chciał także odpocząć, wszedł więc do karczmy, usiadł skromnie przy drzwiach i wyjął z kieszeni chleb.

Karczma stała na rynku małego miasteczka. Zowie się ono Murowaną Gośliną dla odróżnienia zapewne od Drewnianej, o której ja przynajmniej nie mam wam nic do powiedzenia. Ale za to Murowana Goślina i jej karczma pamiętne są w historii, tam bowiem, w tej karczmie uciekający przed wojskiem Saskiem król Stanisław Leszczyński zostawił w pośpiechu córkę, małą Maryę. Późniejszą królową francuską. Sposprzeżono nareszcie brak dziecięcy rozpacz ogarnęła rodziców, wysłali do Gośliny oddział konnicy i po długim szukaniu znaleziono królową śpiącą spo-

kojnie w żłobie stajenki. Śniła może o późniejszych swoich losach, o koronie francuskiej, która dla niej cierniową się stała.

Ale wracam do mego bohatera. Rozejrzał się on zdziwiony po karczmie, bo było w niej ludzi jak na odpuszczie. Na ławach leżały podróżne tobołki, dzieci płakały po kątach, matki starały się je uciszyć, same zaś nadśledziwały tego, co mówili mężczyźni. Byli wszyscy zgromadzeni około najwyższego i najteższego w gromadzie parobka, który wszedł na stołek i prawil zebranych.

Mówca miał na sobie długą, czarną, do księżej sutanny podobną kapotę, wyrażał się jasno choć używał zwrotów czysto ludowych. Mówił głośno, płynnie o biedzie wieśniaka, o tem jak ciężko bezrolnemu parobkowi zarobić choć tyle, żeby kupić żonę i dzieciom przyodzievek. Mówił że perka wyżył niepodobna, bo przy perkach indleją w człowieku siły. Kto ciężko pracuje musi jeść mięso.

— Uczciwy ojciec powinien wychować dzieci na chwałę Bożą, a jak je wychować kiedy bieda?

Mówca rzucił w tłum to pytanie i zamilkł na chwilę, odpowiedziano mu westchnieniami, potem odezwał się śmielszy jakiś głos.

— Sami rządzą się w gminie, zabrał znów głos pierwszy mówca, który dotąd nie zszedł ze stołka. — Pisał mi stryjek z Ameryki, że tam majster siada do stołu razem z czeladzią, a gospodarz, z parobkami za pan brat żyje.

— Wiara, albo i nie wiara. Z daleka dużo pisać można tylko nie wszystko się potem sprawdzi — ostrzegał starszy gospodarz

— A kiedy Wojciech gada rzetelnie. Przecie sam widziałem fotografię fazendy (osady) brazylijskiej, jak tam wszyscy ładnie przed domem siedzą i odpoczywają po robocie. Jednak ubrani.

— I żaden siermiężny surdutowca w rękę nie całuje.

— W Ameryce? — myślał Stefan Luty. Uczył się geografii, wiedział więc o czem rozmawia lud odpoczywający z nim razem w Murowanej Goślinie. Słyszał też nieraz, że wieśniacy polscy wędrują za ocean po własny zagon. Idą tam i rzemieślnicy, jeden z czeladników Jana Kolarza nieszkwał w Chikago i donosił majstrowi, że powodzi mu się dobrze.

O tem wszystkim słyszał Stefan, ale nie zastanawiał się nigdy nad możliwością tak dalekiej wędrówki. Dziś pierwszy raz widział własnymi oczami ludzi idących za ocean. Szli z dziećmi i żonami, wyprzedali na drogę nędzny swój dobytek a szli. W Poznaniu czekał na emigrantów agent kompanii kolonizacyjnej, on to miał dostarczyć potrzebną ilość osadników do Ameryki.

(d. c. n.)

BUTY SIEDMIOMIŁOWE. (p. str. 32).

Może myślicie, że to w istocie rysunek do znanej bajki o siedmiomilowych butach, w których uciekał Tomio-paluch od olbrzyna ludożercy? O nie! rycina ta niema nic w sobie bajecznego, lecz przedstawia w sposób pogłębiony, ile skóry zużywa człowiek przeciętnie w ciągu swego życia na obuwie. Wkładając kolejno wciąż nowe trzewiki i buciki, nie zdajemy sobie sprawy, ile to wychodzi na to materiału surowego i pracy ludzkiej, która ten materiał wyrabia i do naszych wymagań zastosowuje. Ale nauka, oparta na statystyce, oblicza skrzętnie to, co człowiek zużywa

i oto okazuje się, że w ciągu lat 50 każdy człowiek, noszący stale obuwie, zużyje tyle skóry, że z niej możnaby zrobić olbrzymią parę butów długości 1½ metra, w których człowiek średniego wzrostu wyglądałby, jak ów jegomość na rycinie.

Józef Damazy Minasowicz. *)

Osieł nad rzeką.

BAJKA.

*Był kraj dziki, bezdrożny, pusty z każdej strony.
Osieł, głodem przyciśniony,
Postrzega wreszcie łączkę; ale poza rzeką.
Rzeka płytka. — Nie pójdę; niech wody przecieką!
A więc czeka;
Ale zawsze płynie rzeka.
— Toż nadejdzie i ta pora!
Właśnie! a rzeka płynie, jak płynęła wczora.
I noc przyszła — rzeka płynie;
Osieł z głodu prawie ginie.
Trzeba brodzić. — Jeszcze zwleka:
— Może też przepłynie rzeka!
I tak ciemno! Niech zaświta.
Zaświtało. Chce brodzić — nie może;
Bo tak omdlało nieboże,
Iż powietrze ledwo chwyta,
Więc przejść rzekę niepodobna;
Zipnął jeszcze, zdechł i kwita.
Działaj w porę, gdy sposobna,
A gdy spełnisz, co potrzeba,
Dadzą pomoc dobre Nieba..*

ZE ŚWIATA.

Puceto, bohater wysp Filipińskich. W San-Francisco wzbudza od pewnego czasu wielkie zaciekawienie pokazywany za pieniądze maleńki człowieczek, wzrostu sześciolatniego chłopca, którego tamtejsi mieszkańcy nazywają *Puceto*, to jest paluszek.

Zdrobniałe to przezwisko stosuje się do postaci, nie ma jednak nic wspólnego z jego wiekiem, wspomniany bowiem Puceto, liczy już obecnie 63 lat wieku. Dziecięcą ową postać była dobrze znana żołnierzom amerykańskim podczas wojny na Filipinach, gdzie nasz dzielny kaziarek dawał się potężnie we znaki Amerykanom.

Głównym celem jego zawziętości bywali żołnierze, stawiani na forpocztach, dzięki bowiem swoim drobnym członkom, potrafił się nadzwyczaj zręcznie podkraść pod obóz amerykański i celnym wystrzałem kładł na miejscu pierwszą napotkaną placówkę.

Kiedy już przeszło stu najlepszych żołnierzy zginęło w ten sposób z ręki maleńkiego wroga, naczelnny wódz zaniepokojony tą krwawą igraszką Puceta, naznaczył wysoką nagrodę za schwytanie rozbójniczego karzełka. Długo jednakże ubiegali się o nią najodważniejsi żołnierze,

*) Minasowicz (ur. 1792 † 1849) prawnik i poeta mieszkał stale w Warszawie. Zasłużył się literaturze, jako wyborny tłumacz utworów lirycznych Szyllera i autor poezji oryginalnych, wśród których bajki odznaczają się dowcipem i ciętością.

i dopiero niejaki Stepler, zastawiwszy sztuczne sieci, zdołał w nie zapędzić chytręgo człowieczka.

Wsadziwszy następnie w worek upragnioną zdobycz, zarzucił go sobie na ramiona i pospieszył po obiecaną nagrodę. Uradowany wódz, wypłaciwszy ją, oddał Steplerowi jako dodatek maleńkiego jeńca, z warunkiem, aby się z nim dobrze obchodził.

Stepler, jako prawdziwy Amerykanin, zapatrujący się na wszystko z praktycznej strony, unieślił wyzyskać na swoją korzyść drobną postać i krwawą sławę Puceta, więc sprawiwszy mu stosowną odzież, obwozi go dotąd po wszystkich miastach amerykańskich, pokazując za znaczną opłatą.

W górach. Trzy tygodnie błąkały się wśród śnieżnej zawiei w Szwecyi dwie dziewczynki, z których jedna miała lat 8, a druga 11, córki bardzo ubogiego robotnika. Poszły one z rana do wsi sąsiedniej w odwiedzinę, a po południu wyszły z powrotem, by przed zapadnięciem zmroku być w domu; zaskoczyła je wszakże zawieja śnieżna. Skreśliły z gościńca na drogę leśną, chcąc szybciej być na miejscu. Rodzice, nie doczekawszy się dzieci wieczorem, byli przekonani, że zatrzymano je na noc, lecz gdy dziewczynki nie powróciły i nazajutrz, rozpoczęły poszukiwania, które okazały się bezskuteczne; ponieważ zawieja nie ustawała, mniemano już, że dzieci zginęły pod śniegiem. Po trzech tygodniach dopiero znaleziono je w lesie, zmarznięte, ale żywe jeszcze. Zasnęły w nocy, gdy się zabłąkały w lesie, a skoro obudziły się nazajutrz, miały nogi zupełnie odmrożone i nie mogły się podnieść. W tem strasznym położeniu przebyły 12 dni, a życie zawdzięczają jedynie temu, że zaopatrzone je na drogę powrotną w bardzo ciepłą odzież i znaczne zapasy żywości,



Buty siedmiomilowe (str. 31),

Obecnie nieboraczki znajdują się w szpitalu, gdzie im amputowano nogi; lekarze mają nadzieję utrzymania ich przy życiu. Dzienniki zarządziły na korzyść biednych dzieci składkę.

MYŚLI I ZDANIA.

— „Nie można myśleć o wszystkim” — jest to wymówka tych, którzy nie myślą o niczem.

*

Falszywa skromność jest szczytem dумы.

*

Próżnowanie jest, jak rdza, prędzej niszczy, niż praca.

SZARADA.

Pierwsze jest to spółgłoska znana w alfabecie.
Drugie z trzecim najsilniej występują w lecie.
Trzecie z pierwszym rzecz prosta, gdy użyta w porę,
Wielu wątłym roślinom służy za podpórę.
Wszystko wraz jest poważne wieśniacze ubranie,
Co nigdy płochę mody nie uległo zmianie.

ARYTMOGRYF.

Od Łochozwaniki dla ks. Michała R.

- 1) ~~2~~, 21, 18, 5, ~~15~~, 25, ~~17~~. Imię współczesnego polskiego rzeźbiarza.
- 2) ~~16~~, ~~25~~, 7, 25. * Miasto w Holandyi.
- 3) ~~2~~, ~~2~~, ~~16~~, ~~25~~, 5, ~~1~~, 9, 10. Dzień w tygodniu.
- 4) ~~15~~, ~~1~~, ~~21~~, ~~1~~. Bogini egipska.
- 5) 9, 11, ~~26~~, 5, 14, 6. Szczyt gór kaukaskich.
- 6) ~~2~~, 12, ~~21~~. Owad nocny, łuskoskrzydły.
- 7) ~~3~~, 9, ~~2~~, ~~1~~, 25. Zjawisko na niebie.
- 8) 4, 18, ~~22~~, 3. Przełożony klasztoru.
- 9) 12, 15, 12, ~~4~~, ~~1~~, 25. Roślina z rodz. czulkowa-
[tych].
- 10) ~~4~~, 6, 12, ~~21~~. Liczebnik porządkowy.
- 11) ~~3~~, ~~4~~, ~~1~~, ~~21~~, ~~17~~, 10, ~~15~~. Zabawa dla żniwiarzy,
- 12) ~~1~~, ~~21~~, ~~10~~, ~~4~~, 18, ~~23~~, ~~17~~, 9. Miejscowość w Ta-
[trach].

Zastąpić liczby literami, aby początkowe litery utworzyły przysłowie. Jednakowe liczby oznaczają jedne i te same litery.

ROZWIĄZANIA DO Nru 2-go.

Szarady: Na — u — ka.

Sprostowanie. W wierszu „Zimą” z Nru 3-go w 2 wierszu 4-ej strofy zamiast „serce” ma być „Jeszcze.”

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Węże przez B. Dyakowskiego. — Wspomnienia pani Łowczyńny o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchalską. — Jan Tadeusz ks. Lubomirski (z portretem). — Papież Aleksander III i Fryderyk Barbarossa (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Buty siedmiomilowe (z ryc.) — Osieł nad rzeką, wiersz Józefa Damazego Minasowicza. — Ze świata. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Siostra Miło sierdzia, wiersz p. I. S. — Paliwoda. — Król migdałowy i królowa, komedijka w jednym akcie. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

Opowiedział
B. Buyno.

ROZDZIAŁ I.

Czarny kot dostaje czarodziejskie buty i zaczyna płać figle



Wiadomo było wszystkim mieszkańcom krainy Czarów: wróżkom: wieszczkom, chochlikom, czarotkom i t. d., że Baba Jaga jest nieubłaganą nieprzyjaciółką dobrej królowej wieszczek, i że jej szkodzi na każdym kroku. Dla tego darowała czarodziejskie buty Czarnemu kotowi, który od tej chwili zaczął płać złośliwe psoty w krainie wieszczek.

O tak! źle się zaczęło odtąd dźiać w kraju, dotąd tak spokojnym i szczęśliwym.

Wszystkie młodsze wróżki i chochliki, t. j. te, które nie miały jeszcze tysiąca lat — zaczęły szemrać, że muszą być posłuszne królowej, że nie mają sposobności do odznaczenia się znakomitemi czynami. Chciały być sławne na cały świat: chciały, żeby dzieci na ziemi znały je nie pod ogólną nazwą „wróżek,” ale żeby znały każdą z osobna, jako swoją przyjaciółkę i opiekunkę.

Z początku szemrały tylko między sobą — i królowa choć wiedziała o ich niezadowoleniu, nie brała tego do serca, ufając, że z czasem — gdy będą starsze, nabiorą rozsądku.

Ale niemądre wieszczki zaczęły wywodzić swe żale przed ptakami, owadami, drzewami i kwiatami, więc naturalnie sroka plotkarka, usłyszawszy co się święci, poleciała z nowinami do Baby-Jagi, u której bywała czasami na śniadaniu.

Baba-Jaga posłała natychmiast po Czarnego kota, który się wysypiał w słońcu i naradzała się z nim długo. Czarny kot po radzie przywdział czarodziejskie buty, wywinął koziołka w powietrzu, zakręcił ogonem i zabrał się do robienia toalety. Wymył starannie swoje czarne,

lśniące futerko, przeciągnął się, rozprostował, zamiauczał donośnie i wyruszył na bal do królowej wieszczek.

Bal miał być świetny. Wichry pozmiatały spadłe liście i poszły spać. Księżyc świecił tak jasno, że dwa młode wróbelki, myśląc, że to już dzień, zaczęły świegotać: ale spostrzegły wkrótce swoją pomyłkę, bo Mróz uszczypnął je mocno, przytuliły się do siebie i zasnęły na nowo.

A i Mróz miał dużo zajęcia tej nocy, bo drzewa i krzaki i każdą najmniejszą gałązkę przystrajał srebrnym, iskrzącym się w świetle księżyca szronem.

Nie było jeszcze królowej, gdy przybył na bal Czarny kot, ukrył się za pniem drzewa i słuchał.

— Chcemy być paniami swych czynów i robić co się nam podoba — mówiła jedna wróżka — ludzie nas lekceważą i mają za nic, dlatego, że zależyśmy od królowej.

Czarny kot zmrużył oczy, co jak wiadomo, u kotów zastępuje uśmiech. Czuł, że nie nadarmo tu przybył.

— Słusznie mówisz, Krętogłówek! bardzo słusznie! — potakiwała druga. — Ale na co się to wszystko zdało? Wieszczki straciły wszelką władzę, wszelki wpływ na śmiertelników! — westchnęła trzecia.

Czarny kot wystąpił z ukrycia. Boginki zadziwiły się i szmer się rozległ między niemi.

— Czarny kot obudził się!

— I ma czarodziejskie buty na nogach.

Czarny kot wskoczył lekko na pień drzewa i zaczął mówić:

— Szanowne koleżanki i koledzy!

Ale wieszczki i chochliki podniosły wielką wrzawę.

— Nieprawda! Żaden kolega! Niedosć mieć czarodziejskie buty, żeby się równać z wróżkami!

Czarny kot pokręcił gniewnie ogonem i przemówił znowu.



— Wspólniczki i wspólnicy cierpień i niedoli!

Ucichło — a Czarny kot dodał:

— Bo jesteście nieszczęśliwi, wszak prawda?

— Prawda! Prawda! — wołały wróżki i chochliki.

— I ja też byłem nieszczęśliwy — mówił Czarny kot. — Ale odkąd dostałem buty, dające mi wszelką swobodę ruchów, czuję się zadowolony. I wy musicie zdobyć to samo — zdobyć niezależność i władzę!

— Ale w jaki sposób? — rozległo się pytanie wśród tłumu wieszczek.

(d. c. n.)

Siostra Miłosierdzia.

Z różańcem u pasa, z oczami jasnymi,
A w sercu i ustach z modłami cichemi;
Dokoła ją dziatki, jak wieńcem otoczą,
I spokój jej duszy swym smutkiem zamroczą.
To biedne sieroty, bez ojców i matek,
Zbierając w swych piersiach sił wątłych ostatek,
Z ufnością ku niej rączyny podnoszą,
A lica ich blade rześiste łzy rosą.

A ona je tuli i pieści i ścisła,
A w oczach jej dobroć niebiańska połyska,
Ich rączki do modłów ku Stwórcy układa,
Co całym wszechświatem zarządza i włada.
I karmi zgłodniałe, czem tylko jest wstanie,
By spełnić w całości swe święte zadanie,
I w świeże sukienki troskliwie obleka,
I tutaj niczyjej pomocy nie czeka.

Nie wstydy się żebrać jałmużny dla biednych,
I do serc nieczułych przemawia nie jednych,
I często niestety! bez wsparcia odchodzi,
Ale miłosiernym Bóg kiedyś nagrodzi.

O! dzięki ci, Siostrze, co w każdym masz brata,
Ty, coś się zaparła i siebie, i świata,
I cała sierotom nieszczęsnym oddana,
Bądź pewna nagrody wieczystej u Pana.

O lube dzieciętki, w swej wiosny rozkwicie,
Co macie tych jeszcze, co dali wam życie,
Zanoście za niemi modlitwy do Boga,
Bo dola sieroty okropna i sroga.

I. S.

PALI WODA.

(Dokończenie).

Ale teraz oto stało się coś najgorszego... Paliwoda przeprosił tylko ustami, nie sercem. W parę dni później, gdy się chłopcy bawili rzucaniem gałek śnieżnych, ugniótł Paliwoda bardzo twardą kulę i cisnął ją w Karolka. Kula trafiła chłopca w twarz tak, że policzek spuchł mu odrazu. Jak się taki postępek nazywa?

Gucio milczał.

— Nazywa się zemstą, a mściwość po niewdzięczności i kłamstwie jest najbrzydlivszą wadą, jaką w ludzkim sercu znaleźć można. Człowiek mściwy jest nie-

przyjacielem Pana Boga. Wszyscy aniołowie płaczą nad nim w niebie... Czyż taki człowiek może być wesoły i mieć spokojne sumienie?

Gucio zacisnął zęby i wykrzywił twarz cudacznie, aby się wstrzymać od płaczu. Po chwili wstał ze stołeczka i wyszedł, nie mówiąc słowa. Zosia знаła swojego drogiego braciszka i udawała, że nie widzi jego miny, nie prosiła go też, aby został. W pół godziny potem wrócił Guccio promieniejący radością.

— Gdzieś ty był? — spytała Zosia.

— To było tak — rzekł trochę zmieszany, — że... Czy pamiętasz moje małe saneczki, które dostałem na ostatnią Gwiazdkę? Nazwałem je: Mopusie. Niema drugich tak ślicznych saneczek, jak Mopusie.

— Tak — odpowiedziała Zosia — pamiętam, żeś ogromnie lubił Mopusie, więcej niż złotego wierzchowca z czerwonym siodłem i chwaliłeś się zawsze, że nikt nie ma tak doskonałych saneczek.

— Teraz dałem Mopusie Karolkowi, czem on się tak ucieszył! wiesz, tak ucieszył! tak bardzo ucieszył, że nie masz pojęcia, jak on się ogromnie ucieszył!

— No, a ty Guccio, czyś się nie ucieszył tak samo?

— Ach, czy ty wiesz, Zosiu, że było mi tak okropnie smutno od czasu owej myszy, taki ciągle byłem zły, wszystko było potem smutne... a jakieś ty czytała, że anioł płacze, to mi się też płakać zachciało. Wtedy poszedłem do Karolka, no i już wiesz, teraz wszystko jest dobrze, teraz jestem bardzo wesoły! wiesz Zosiu, teraz dopiero będą prawdziwie wesołe święta!

Zosia objęła Guccia za szyję, ucałowała, a potem tańczyła z nim po pokoju.

— Wiesz co — rzekła. — Kiedy teraz owa wróżka, która jest chrestną matką Paliwody, pośle dzienniczek do Wieczorów Rodzinnych do druku, to ja ją poproszę aby opowiedziała też o tej nieżywej myszy, bo to była najgłupsza, i zarazem najmądrzejsza awantura Paliwody z pomiędzy tych wszystkich, które przez rok cały narobił!

— Poproś jej też, aby nie zapomiała o Rusałce. Bo wiesz, żeby nie było siostry Rusałki, byłby z Paliwody niepoń prawdziwy...

— O, nic podobnego nie mów o Paliwodzie! Bywa on nieraz hałaśliwym trzpiotem, prawdziwym łobuzem i psotnikiem, ale Bóg dał mu serce poczciwe. Będzie z niego zacny człowiek.

No, i tak było z tym Paliwodą, hersztem rozbójników.

KRÓL MIGDAŁOWY I KRÓLOWA

Komedyjka w jednym akcie.

(Dokończenie).

SCENA VI.

(Ciż sami, Julisia).

Julisia (wbiegając). Panienci, panicze, proszę prędko wziąć płaszczyki i zejść na dół; wujcio zajechał sankami i chce wszystkich zabrać na ślizgawkę — ale bardzo prędko, bo dorożka zamówiona na kolej i nie chce

czekać — a wujcio jeszcze ma wstąpić po drodze do starszej pani.

Janek (*wyskakując*). Na ślizgawkę, z wujciem! o! co za szczęście (*zarzuca płaszcz*).

Anielka (*zbierając się z pośpiechem*). Poczciwy wujcio! Julisiu, przynieśno mi prędko białą czapeczkę. A czy rodzice już wiedzą i pozwalają jechać?

Julisia. Pani wie, tylko kazała się ciepło ubrać, bo tam taki mróz, że aż trzeszczy.

Zosia. A ja? Jakżeż ja pojedę? czy mogę wziąć płaszczyk na tę suknię?

Anielka. Ani myśleć! przebierz się jak najprędzej.

Zosia. Oj, żebym tylko zdążyła! prędko Julisiu, pomóż mi.

Julisia. Ta gdzie, proszę panienki — nim ja tę suknię rozsznuruję — a nim popruję to com zaszywała, żeby się jedno z drugim trzymało, to państwo już dawno będą na ślizgawce. Wujcio kazał strasznie się spieszyć, bo jak nie, to sam pojedzie. Ja idę po czapeczkę, (*wychodzi*).

Zosia. O mój Boże, cóż ja zrobię!

Anielka. Gdyby nie to zaszywanie, to może byłby jeszcze czas — ja ci pomogę. (*zaczyna rozcinać coś przy staniku*).

SCENA VII.

Anielka, Zosia, Janek, Michaś.

Michaś (*wchodzi błądy i co chwila pociera ręką czoło, jakby go głowa bolała*). Co wy tu tak radzicie?

Janek. Nie wiesz? Wujcio przysłał, żebyśmy w tej chwili jechali z nim na ślizgawkę; czeka w sankach na dole. Bierz płaszcz i biegnijmy, bo nim się te dziewczęta wyguzdrzą...

Michaś (*z radością*). Na ślizgawkę? To cudownie! wspaniale! (*idzie ku drzwiom po płaszcz*). Ach, tylko mi się czegoś tak w głowie kręci (*chwytając się za głowę*).

Anielka (*troskliwie*). Cóż ci się stało tak nagle?

Michaś (*zmieszany*). Nie wiem, nie wiem... to może z tego, że tak wysoko siedziałem na tym stole.

Zosia. A widzisz! to kara za to, że mnie nie chciałeś puścić!

Anielka. Ale Zosiu, nie wszczynajże sprzeczki, zresztą to nie może być z tego.

Janek. Już wiem co ci się stało! pewnie paliłeś papierosa?

Michaś. Daj mi spokój. Paliłem czy nie paliłem, to nic niema do rzeczy, ty tylko umiesz dokuczać (*pada na krzesło*) och, jak mi niedobrze!

Anielka (*podając mu wodę*). Napij się wody — a możeby tu okno otworzyć, bo to oczywiście ten papieros tak cię odurzył — tylko niech Zosia wyjdzie z pokoju, bo się znów zaziębi.

Janek. Ach, co za kłopot z temi dziećmi — wujcio czeka, będzie się gniewał.

Zosia. Bardzo proszę do mnie tego nie stosować — nie jestem dziecko i ze mną niema żadnego kłopotu; za dwie minuty będę gotowa.

SCENA VIII.

Ciż sami, Julisia.

Julisia (*wchodząc*). Ech, już nie ma co się zbierać wujcio odjechał, powiedział, że niema czasu na takie długie czekanie.

Dzieci (*razem*). Odjechał!

Janek. Przepadła nasza zabawa! ślicznieście nas urządzili, z tem waszem mądrym królowaniem!

Michaś. Czyż to nasza wina? Ja cię przecie nie trzymałem, mogłeś iść.

Zosia. I ja cię nietrzymałam. Wcale cię nie prosiłam, żebyś ze mną siedział w domu — ale ty sam nie masz jeszcze łyżew, ani paltota, a na nas zmawiasz.

Janek. Tak! bo jak się zaczęło radzić nad twoją suknią, a jego zawrotem głowy, to musieliśmy się spóźnić.

Michaś. Bo też i ten wujcio taki prędk! Nic się dziś nie wiedzie... zamiast żeby było przyjemniej i weselej, to daleko nudniej niż w każdy powszedni dzień. Ja już nigdy w życiu nie chcę być królem!

Zosia. Ani ja królową — my całkiem nie mamy szczęścia. Innym to się jakoś wszystko dobrze składa za ich królowania — a nam co?

Anielka. Chcecie wiedzieć, to ja wam powiem dlaczego wam się „jakoś tak nie składa” — oto dlatego, że zamiast wymyśleć zgodnie jakąś wspólną zabawę, w której bawiliby się wszyscy razem, sprzecacie się tylko ustawicznie i każde myśli jedynie o zadowoleniu swojej własnej zachcianki — samolubom zwykle źle i niewesoło się dzieje. Korzystacie z waszych przywilejów, aby robić rzeczy niepotrzebne nikomu, nieprzyjemne, a nawet wprost zakazane, to też i sami nie macie z tego pożytku ani przyjemności.

Zosia. Może ty masz słusność — ale cóż już teraz na to poradzić; ślizgawka przepadła!

Michaś. A mnie głowa boli.

Anielka. Ból głowy przejdzie, gdy się napijesz herbaty, a choć ślizgawka przepadła, możemy jeszcze zabawić się w inny sposób — może w jakieś szarady, albo żywe obrazy.

Janek. Brawo! w żywe obrazy, niechże Michaś i Zosia powiedzą najpierw coby chcieli przedstawić, oni mają pierwszy głos.

Michaś i Zosia. Nie, nie! Anielka niech powie, bo ona dała dowód, że z nas wszystkich najrozsądniejsza.

Anielka. A odtąd: niech żyje zgoda!

Janek, Michaś i Zosia (*razem*). Tak, tak — niech żyje zgoda!

Zasłona spada.

Niebliński.



ZAGADKA.

Dwie litery płyną,
W falach Wołgi giną.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ul. Cyganka.

1
2
3
4
5
6
Zastąpić kropki literami i ułożyć wyrazy, których litery oznaczone liczbami złożą nazwisko słynnego podróżnika. 1) Imię męskie. 2) Kwiatek kwitnący w łąkach zboża. 3) Morze w Europie. 4) Miasto we Francji. 5) Włoska kielbasa. 6) Nic którą wydaje pewna gąsienica. Sylaby: ba—dra—dwab—je—ken—ta—la—mo—mi—rad—sa—tyk—tu—za.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

Zagadki: Para.

Łamigłówni kryształowej:

M
J a n
k o l e j
H a m b u r g
P ł o c k
K r a
g

Skrzynka do listów.

Niedarmo to **Cyganki** słyną z odgadywania myśli, bo widzę że nowa, a bardzo mi miła korespondentka, ukryta pod tym pseudonymem, od razu przeczuła moją dla niej życzliwość. W czym jednak pomyliłaś się, Cyganko, to w twoich domysłach co do p. Papi. Jaskółka niech zostanie i nadal wierną rodzinnej strzeże „Wieczorów”, ale nieodgadnioną ptaszyną.

Pochlebna jesteś **Neciu**! Pisziesz, że moje listy rozpędzają chmury, a tu niestety zawisły one nad Warszawą i prześladowają nas deszczem, próżno Jaskółka odpędzić je rada, nie jest to w jej mocy. Nie w mojej mocy także, kochana Neciu przyjąć lub odrzucić twoje wierszyki. Sądzi o tem cały komitet redakcyjny, a ja drzę przed nim jak i wy, kochane korespondentki „Wieczorów.” Z własnego doświadczenia dam ci jednak radę, byś przedewszystkiem starała ćwiczyć się w ortografii i stylu, gdyż to koniecznym jest dla przyszłej poetki. Pamiętaj więc kochana Neciu, że Jaskółka nie pisze się przez y, i że, nie należy używać słowa *wyganić*, bo takiego nie ma w języku polskim.

Dziękuję ci kochana **Stokrotko** za podaną w liściku treść *Twardowskiego*, znalazłam ją z literatury i ze ślicznej ballady *Mickiewicza*, ale z wielkim zainteresowaniem czytałam i twoje opowiadanie. Dobrze bardzo użyłaś świąt, przyspasabiając się do lekcji w drugim półroczu pracy. Twój trud opłaci ci się sówicie, a ja się cieszę, że mam w gronie moich korespondentek tak pilną uczennicę.

Julek H., nowy korespondent „Wieczorów” rozwiązał trafnie szaradę i łamigłównę. Witamy go życzeniem powodzenia

w nauce i rozwiązywaniu wszystkich zagadnień szkolnych równie szczęśliwie jak te, których mu nastęrczyło nasze pismo.

Witam cię **Geniu—Stokrotko** z tem serdecznem uczuciem, z jakim witam zwykłą wdzięczny i uśmiechający się do mnie kwiatek. Jakże Jaskółka utuliłaby chętnie przy swem sercu smutną, bo osieroconą Stokrotkę. Pragnąc bardzo, aby „Wieczory” sprawiały ci przyjemność i abyś w nich czerpała pociechę, ucząc się przez nasze pismo współczucia z nędzą ludzką, bo takie współczucie daje zapomnienie własnych smutków. Będę zawsze bardzo chętnie odpisywała na twoje liściki, a tymczasem przesyłam, choć nieznajoma, wyrazy pełne uszanowania i współczucia dla twojej mamy, a pozdrowienie dla siostrzyczki.

Kwiat paproci z pod Kutna musi być bardzo domyślnym kwiatem, skoro tak dobrze odgadł, dlaczego nie odpowiedziałam mu dotąd. Ale też kwiat paproci znany jest od dawna z cudownych swych własności, tam gdzie kwitnie, ludzie skarby szczęścia znajdują. Czy tak i z tobą dzieje się kwiatku? Chyba, że tak, skoro wesoło u was, a braciszkowi — Benjaminkowi siostry dogadzają na wyscigi. Nie narzekaj na brak ślizgawki, kochany kwiatku, nie ma jej i w Warszawie, ale kwiatki mają wstręt do mrozu, czyżby paproć odróżniać się od nich miała? Z twojego listu wieje tyle rodzinnego ciepła, że ono to zapewne rozgrzało ci serce. Udziel go kwiatku smutnym i osieroconym, a sprawdzi się czarowne podanie o zaklętych skarbach, których paproć strzeże w noc Ś-to Jańską.

Machega za dwukrotne życzenia wart podwójnych podziękowań, ja jednak ograniczę się na złożonym z dwóch wyrazów ale wielką treść mieszczącym zdaniu: „Bóg zapłać.” Zagadki oddałam Redakcyi.

Już tak daleko frunęłaś **Mewo**! List twój z Monaco bardzo mnie zainteresował, zwłaszcza opis klasztornej pensji i omnibusu, zabierającego pensyonarki na lekcje. Zazdroszczę ci widoków pięknej natury, tem więcej, że w tym roku nie mamy dotąd śniegu, który ja tak lubię. Dziwny gust u Jaskółki powiesz. Prawda, moje siostrzyczki uciekają przed śniegiem dalej nawet niż ty do Monaco, ale ja uwilał sobie pod strzechą „Wieczorów” takie ciepłe gniazdko, że go opuszczać nie lubię. Pytasz o adres Janka Ż. Jego listy z Transwaalu wyszły obecnie w osobnej książce pod tytułem: „Żołnierz Dewetta” adres zaś swój zostawił on w naszej redakcyi, nazywa się Janek Żórawski i mieszka w Warszawie. Mam nadzieję, że obdarzysz mnie znów równie ciekawym liścikiem, za który wdzięczna ci będę całym sercem.

Bohuna zaliczam do grona stałych korespondentów i proszę o częste listy. I ja wolę ten pseudonym od poprzedniego. Tak blisko mieszkaś Radakcyi, że po brakujące numeru zeszłoroczne zechciej się pofatygować sam, lub przysłać po nie, to prędzej je otrzymasz.

Od **Białej Konwalijki** oczekuję właściwego listu, wtedy jej odpowiem.

Wasza Jaskółka.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Bohun, Julek H., Machego, Złota Różyczka, Jaś Sokołowski, Ańdzia Wilczyńska, Teef, Biała Konwalijka, Jan Abramowicz, Córa Mazurów i Gwiazdka.

P. Alinie S. z Małoszewic żadaną książkę wysłaliśmy. Za kosztą przesyłki należy się nam 40 kop.

Janowi Abramowiczowi. W N-rze 1-ym Wieczorów znajdziesz szczegółowy wykaz, ile kosztuje z przesyłką każda z powieści Verne'a, które Redakcyja odstępuje po cenie niższej swym prenumeratorom.

Dla najbiedniejszych chorych dzieci nadesłali: p. Wiktorya Wyszynska rub. 10 i Dr F. Bergier kop. 70. Ofiary te oddaliśmy w połowie Szpitalikowi Dziecięcemu, w połowie Koloniom letnim.